

Gdzie należy szukać wejścia do piekieł

Zastanawiali się nieraz ludzie i pytali mędrców obznajomionych ze sprawami wielkiej wagi, gdzie leży piekło i którędy do niego wchodzi grzeszne dusze, a wychodzą diabły na ziemię. Na ten temat wiele już rozprawiano, a poglądy bardzo różniły się od siebie. Proboszcz z Rypina był zdania, że piekło znajduje się pod naszymi nogami, w głębokiej czeluści, natomiast dziekan z Rozdołu, mąż bardzo światły i z księgami obznajomiony, twierdził z całą pewnością, że piekło znajduje się na jednej z gwiazd. Gwiazda ta jest czarnego koloru, nigdy nie świeci, obraca się na opak i wieje straszliwymi parami, które często dochodzą nie tylko do ziemi, ale nawet zakażają słońce.

Wyjdiesz czasem letnią porą przed dom, a do nozdrzy twoich doleci zapach tak szpetny, iż mało nie omdlejesz; to dymy unoszą się z diabelskiej gwiazdy i trują powietrze, przypominając wszelkiemu stworzeniu piekło.

Do poglądów dziekana rozdolskiego skłaniał się scholastyk płocki, Idzi, ale skutkiem tego wpadł w zatarg z kanonikiem Mateuszem, który utrzymywał z całą pewnością, że na czarnej gwieździe znajduje się czyściec.

Jeśli by bowiem znajdowało się tam piekło, strułaby się ziemia, a na świecie nie byłoby ani jednej rośliny, ani też żadnego stworzenia, gdyż wolno puszczane dymy piekielne zabiłyby każde życie.

Piekło więc znajdować się musi koniecznie pod ziemią, i to w znacznej głębokości, przyciśnięte srogimi bryłami i głazami.

W podobny sposób zeznawała, wzięta na męki w Wyszogrodzie, czarownica, Marta Ślendzianka, ale nie domówiła reszty, bo silniej pociśnięta przez mistrza wyzionęła ducha i nie mogła wskazać miejsca, którędy wchodziła na nikczemne harce z diabłami.

Przedwcześnie dobiły ją czarty, aby nie zdradziła wielkiej tajemnicy. Słusznie bowiem obawiają się, że wydanie tego sekretu mogłoby spowodować ogromne nieszczęścia.

Cóż by się bowiem stało, gdyby jakiś odważny egzorcysta, a takich jest niemało, uzbroiwszy się w wodę święconą i relikwie, wszedł do piekieł? Mógłby wypędzić stamtąd wszystkie czarty, zagasić ogień piekielny i samego Lucyfera poprowadzić jak brytana na łańcuchu za swą nogą.

A mogłoby się zdarzyć jeszcze inaczej.

Niechby ludzie wypatrzyli, gdzie znajduje się piekielna brama, zaraz by zabili ją deskami, wymalowali krzyż, a pod nim zawiesili obraz Najświętszej Panienki.

Żaden diabeł nie mógłby się wtedy dostać do piekieł, a grzesznicy mnożyliby się na ziemi jak muchy w lipcu i nie lękaliby się pokarania, wiedząc, że czarty nie zedrą świętych znaków i nie poprowadzą łotrów na wieczne zatracenie.

Bardzo źle byłoby wtedy na świecie, gdyż ustałaby miara między sprawiedliwymi a bezbożnymi.

Są ślady w pismach, że pewien dominikański braciszek natrafił przypadkiem w Warszawie na wejście do piekieł. Widział bowiem, jak wynurzył się straszliwy demon, zawałił otwór skałą, a na niej posadził stuletnią topolę. Braciszek był okrutnie mocny, nie zwierzył się więc nikomu, powalił drzewo, rozrąbał skałę i wszedł do jaskini.

Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, upadł z odurzenia i znaleziono go po kilku dniach, leżącemu bez zmysłów.

Dopiero później zrozumiał braciszek, dlaczego nie dokonał ważnego dzieła. Chciał iść do piekieł, nie opowiadawszy się przeorowi, dlatego jęły się go straszliwe dymy piekielne

i zmaciły mu głowę. Gdyby miał czyste sumienie, byłby na pewno dokonał wiekopomnego odkrycia.

Co nie udało się dominikańskiemu mnichowi, powiodło się panu Dymzie.

Działo się to akuratnie w Tłusty Czwartek przy ulicy Brackiej w Krakowie opodal franciszkańskiego kościoła, w winiarni Sulimierczyka „Pod Złotym Kogutem”. Pan Dymza, wychodząc z piwnicy, stracił nagle kierunek i zamiast zwrócić się na prawo, poszedł na lewo. Stąpając ostro przed siebie, zawadził nogą o belkę i runął w przepaść. Zaraz zmiarkował, że wpadł w jakąś nieczystą pułapkę, więc wyciągnął szablę z pochwy i oparł się przezornie o ścianę, aby mieć tyły osłonięte. Nagle poczuł straszliwy żar w plecach, jakby uraził się o piec napalony do czerwoności. Przysunął się do drugiej ściany, a tam znów mroził go lód, gorszy po stokroć niż w czasie najsroźszej zimy.

Dopiero przy trzeciej ścianie zrobiło mu się błogo i przyjemnie, a patrząc naprzeciwko, dostrzegł wyraźnie szparę, przez którą migotało światelko.

Kopnął drzwi i wszedł do wnętrza. Od razu rozpoznał, gdzie jest, lecz nie uląkł się ani przez chwilę, tylko mocno ścisnął poświęcaną szablę i przyspieszył kroku. Szedł z pół godziny po dobrze oświetlonym korytarzu, pokichując czasami, bo srodze kręciło go w nosie. Nagle spotkał nieforemnego człowieczka, który zagadnął:

— Glejt jest?

Pan Dymza wskazał na sygnet ze znakiem Ossorii, który, jak wiadomo, wywodzi się od diabelskiego pazura, więc plugastwo skłoniło się nisko i zeszło z drogi.

Dymza, minawszy szkaradę, szedł dalej zapamiętale, oglądając się na wszystkie strony, spodziewał się bowiem zasadzki czartowskiej.

Dla dodania sobie odwagi wyciągnął na wierzch poświęcany szkaplerzyk, wiedząc, iż ochroni go od podstępów diabelskich, lecz rozważywszy sprawę, schował świętość pod kapotę, nie chciał bowiem, aby oczy Najświętszej Panienki padały na diabelskie bezeczeństwa.

I dobrze zrobił.

Niedługo potem, przy pierwszym skrócie korytarza, wyskoczył obrzydliwy potwór, cały porośły szczecią. Merdał okrutnie ogonem, pazurami wydrapywał iskry z kamienia i sapał jak sto szkap dychawicznych. Potwór zatamował przejście widłami, ale pan Dymza nie stropił się tą groźbą, lecz huknął na całe gardło:

— Precz, hultaju, z szablą do mnie stawaj, a nie ze stajennym narzędziem! Donośny głos i pewna postawa podziały widocznie na czartowskiego sługę.

Zmiarkował, że jeśli pan Dymza łaje, ma ku temu prawo i lepiej nie stawiać mu przeszkód.

Szedł więc szlachcic dalej spokojnie, pragnąc dotrzeć do samego Lucyfera i łeb skrócić sobace lub co najmniej na nim wymóc, że nigdy nie będzie wodził na pokuszenie.

Inaczej się jednak stało. Zaledwie przelał pan Dymza przez wąziutką kładkę, rozciągającą się nad ogromną rzeką smoły, obskoczyło go kilka tuzinów diabolic. Nie można powiedzieć, aby były szkaradne. I owszem, udały się zupełnie. Jedne miały włos czarny jak heban, inne złoty niby dojrzały snop pszenicy, były płowe i szare, a niektóre nawet rude, wszystkim zaś błyszczały oczy jak wilkom po nocy.

Pan Dymza strzepnął ręką, chcąc odgonić diablance, ale nie pomogło. Opadły go gromadą, chichocząc i szczerząc zęby tak jakoś dziwnie, że aż ciarki przeszły wędrowca od głowy do pięty. A jedna wołała przez drugą:

— Będę twoją, bądź moim, nie bierz tamtej, tylko mnie, mnie-e-e! — i stał się taki krzyk i harmider, że aż głuchły uszy.

Choć pan Dymza nie był na płec piękną łasy i wołał zawsze szklaneczkę niż dziewczkę, jednak wspomniał, że przeżył w kawalerstwie czterdzieści pięć wiosen i nie wadziłoby mieć w domu żonkę. Lecz jakżeż taką poślubić? Tfy, grzech, nijako i niebezpiecznie.

A oważ jedna, przedarłszy się przez ciżbę, pochwyciła Dymzę za szyję i uwiesiwszy się na niej niby gruszka na gałęzi, zawołała:

— Już cię nie puszczę!

Mówiąc to, przywarła cała do szlachcica, obsypując go pocałunkami.

Takiej przyjemności nie zaznał Dymza, póki żyw. To czerwieniał, to bladł, trząsł się jak w febrze, potem zalewał go upał okrutny i nie zwracał nawet uwagi, że diabllice rozsierzdziły się nad miarę i skaczą sobie do oczu, wyklinając jedna drugą, iż przeszkodziła jej dorwać się do udatnego chłopca. I stał się taki zamęt i ogólna nieprzyjaźń, że z głębin czeluści poczęły nadlatywać czarty, aby rozdzielić poważnione piekielnice, które wodziły się już za czuby, wyrzywały sobie z łbów kudły i rozdzierały do krwi zębami i pazurami.

Pan Dymza nie wie, co się stało, lecz ocknął się dopiero na świeżym powietrzu, a gdy pozbierał zmysły, ujrzał wedle siebie nieszeptną niewiastę, która uśmiechając się wesoło, kładła mu na głowę mokre chusty, poila pachnącą driakwią i szeptała do ucha:

— Nic to, nic, za chwilę będzie już dobrze. Zmylił waszmość trochę drogę i znalazłam go w rynsztoku przed moim domem. Wydrzyna jestem, wdowa po trybunalskim asesorze! Pijaczyną był nieboszczyk i zmarł przed rokiem, dając mi zaledwie zakosztować rozkoszy szczęścia małżeńskiego.

Dymza byłby przysięgł, że widział tę niewiastę w piekle, ale nie śmiał zadawać jej kłamu, aby nie wydać się gburem; milczał więc i myślał: „Poznałbym ją po całowaniu, ale nie wypada postępować obcesowo, przywabię kobietę jeszcze do tego i wtedy dopiero wyda się prawda”.

Więc niby od rzeczy, niby do rzeczy, kołowaniem tędy i owędy próbował znęcić gospodynię. I niedługo zastawiał sieci, bo ani się opatrzył, gdy wdowa zsunęła mu się w objęcia, a wpadłszy w ramiona, przywarła jak ogień do żywicy.

Wzdrygnął się Dymza, bo poczuł ten sam smak pocałunków co w piekle.

Nie było jednak gadania, a w trzy tygodnie Wydrzyna zwała się już Dymzową. A ludzie, którzy ją znali, mówili, iż zasłynęła jako dobra małżonka. Sama krupnik warzyła i zaprawiała nalewki, a gdy mąż usnął, siadała wedle łoża i gałązką odganiała muchy, aby miał sen słodki i niezmacony.

Tylko wobec innych kobiet wychodziła na jaw jej szatańska natura. Jeśli zbliżyła się niektóra z przyśmieszkiem lub przyjazną intencją, jako że małżonek był chłop urodny i w języku wielce przymilny, stroszyła się niby opadnięta wilczyca, parskając i cięła złością, gotując się rozplatać napastnicę pazurami, akuratnie tak samo jak wtedy, gdy zobaczyła w piekle pana Dymzę.

Małżonek zaś milczał, bo nie śmiał wyjawić nikomu pochodzenia swej żony.

Trzecie wejście do piekieł znajduje się pod Krzywym Mostem, niedaleko Mławy, a jest tak zarośnięte łożyną i chwastem, iż niepodobna go wypatrzyć.

A przecież dostrzegł piekielne wrota głupi Kondziołek. Mówiono, że miał rozum pomieszany, ale mało w tym prawdy. To pewne, że Kondziołek był próżniakiem i latawcem, nigdzie nie zagrażał kąta, a gdy pytano, kto go żywi, odpowiadał bez namysłu:

— Wróble i stara pliszka.

Niemądrzy ludzie myśleli, że nicpoń bredzi, a tymczasem mówił tak, jak było.